Cena pojedyń numeru 40 groszy
Należność pocztowa uiszczona ryczałtem
Nr. 11 (68). Warszawa, 16 marca 1930 roku Rok II

PLACÓWKA

POLITYCZNA — SPOŁECZNA — GOSPODARCZA — KULTURALNA
Pismo tygodniowe dla wszystkich

NA PORZĄDKU DZIENNYM

Strażnica zachodnia

Po długich, zręcznie zareżyserowanych, walkach — parlament niemiecki uchwalił zarówno plan Yunga, jak umowę likwidacyjną polsko-niemiecką, podpisaną w dniu 31 października ubiegłego roku. Wprawdzie brak jeszcze na umowie z Polską podpisu prezydenta Hindenburga, ale nastąpi to niewątpliwie lada dzień, a ten chwilowy gest rezerwy traktować należy jako demonstracyjny ukłon w stronę nacjonalistycznej opozycji.

Stoimy tedy w polityce zagranicznej wobec faktu, którego doniosłości i skutków opinja polska nie może nie doceniać. Tak, jak się ostatnio ułożyły stosunki francusko - niemieckie, ratyfikacja planu Younga pociągnie za sobą niechybną ewakuację Nadrenji, najpóźniej z końcem czerwca roku bieżącego. Z tą chwilą Niemcy odzyskają w polityce międzynarodowej pełną swobodę ruchów, a co taka swoboda oznacza w stosunku do nas, co do tego chyba nie ma w Polsce większych wątpliwości.

Jeżeli ktokolwiek w Polsce szczerze łudził się, jakie jest powszechne nastawienie nastrojów politycznych niemieckich wobec Polski, tego chyba wyleczyć ostatecznie powinien przebieg dyskusji w parlamencie na temat umowy likwidacyjnej 31-go października. Począwszy od oficjalnych przedstawicieli rządu, a skończywszy na reprezentantach „pacyfistycznie“ usposobionych stronnictw — wszyscy mówcy jednozgodnie podkreślali, że doniosłość tej umowy leży w utrzymaniu „wału niemieckiego“ w oderwanych od Rzeszy „prowincjach niemieckich“, że fakt ten ma decydujące znaczenie dla przyszłej polityki niemieckiej na Wschodzie.

W tych warunkach nie mamy prawa narzekać, by postępowano z nami nieszczerze, by nas łudzono choćby jakiemś „surogatem“ wschodniego Locarno. Tembardziej tedy wzrastać musi w Polsce niepokój co do znaczenia i skutków umowy likwidacyjnej. Niestety opinja polska w tej sprawie skazana jest od początku na błądzenie po omacku. Społeczeństwo ziem zachodnich, najbardziej bezpośrednio tą sprawą zainteresowane, stoi wobec faktu, że zadecydowano o niem bez niego. Odsunięte od wszelkiego wpływu na realny bieg polityki państwowej, nie ma nawet tego zadośćuczynienia, by w chwilach ważnych decyzji liczono się z jego wolą i doświadczeniem. Zasiada wprawdzie od kilku tygodni w składzie rządu przedstawiciel tych ziem, ale dziwnym zbiegiem okoliczności reprezentuje on ten obóz polityczny, który zawsze, zarówno w czasie niewoli, jak i dzisiejszym, był w rozterce z opinją olbrzymiej większości tamtejszego społeczeństwa.

Stoimy zaiste wobec sytuacji tragicznej. Najcenniejsze dzielnice państwa, stanowiące jego zachodnią strażnicę, stawiane są w położenie groźne i dla ich przyszłości i dla państwa. Nie pozostanie im tedy nic innego, jak powrót do wypróbowanej tam metody pracy narodowej, która każe im liczyć wyłącznie na siebie. Taki jest niestety dzisiaj los naszych wysiłków narodowych nie na jednym kresowym odcinku...

Wytyczne rządu w sprawie rewizji Konstytucji

No żądanie przedstawicieli niektórych stronnictw domagających się, aby rząd sprecyzował wyraźnie swoje stanowisko w prawie rewizji Konstytucji — p. Piętak w jego imieniu złożył następujące oświadczenie w tym przedmiocie:

1. uczynienie z urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej czynnika nadrzędnego w państwie, a to także za pomocą odpowiedniego wyboru;
2. należyte rozgraniczenie władzy ustawodawczej i wykonawczej;
3 veto ustawodawcze Prezydenta Rzeczypospolitej;
4 rozszerzenie ustawodawczych uprawnień Prezydenta Rzeczypospolitej;
5. odpowiednie ustalenie zakresu władzy rządu i zapewnienie ciągłości jego prac;
6. ścisłe określenie odpowiedzialności poselskiej.

Tak więc żądaniu stronnictw domagających się sprecyzowania stanowiska rządu w sprawie rewizji Konstytucji stało się zadość. Jednakże, jak to z góry można było przypuszczać, sprecyzowanie to nie przyczyni się do posunięcia sprawy naprzód. Raczej wprost przeciwnie.

Istotnie, postulaty rządu są bowiem tego rodzaju, że uniemożliwiają utrzymanie systemu rządów parlamentarnych, za którym jest ogromna większość ciał ustawodawczych i dążą do stworzenia ustroju państwowego nie dającego się pomyśleć, ani praktycznie, ani nawet teoretycznie.

I.

Urząd Prezytenta Rzeczypospolitej ma być nadrzędnym. Co to ma znaczyć? Chyba to, że stać on ma ponad rządem. Na poparcie tego przypuszczenia przytoczyć można postulat 5 rządu w którym mowa jest o ustaleniu władzy rządu. Ponieważ postulat 2 mówi o rozgraniczeniu władzy ustawodawczej od wykonawczej, więc rozumując logicznie należałoby przypuścić, że postulat 5 mówi o czemś innem.

A więc o odgraniczeniu władzy Prezydenta Rzeczypospolitej od kompetencyj rządu; pomijam tu rozgraniczenie władzy wykonawczej od rządowej, gdyż jest ono jasne.

Jak można sobie wyobrazić ustrój w którym Prezydent Rzeczypospolitej stałby ponad rządem w znaczeniu realnem, faktycznem, a nie teoretycznem, czy moralnem tylko?

Stanowisko takie Prezydenta mogłoby się zrealizować tylko przy systemie amerykańskim, w którym powołuje on ministrów, ale uzależnia ich całkowicie od siebie, gdyż są oni politycznie tylko przed nim odpowiedzialni. Przy tem systemie jednak ministrowie nie mają samodzielnego znaczenia. Jeżeli więc rząd chce wprowadzić u nas system amerykański, to dlaczego nie mówi tego otwarcie?

Nie można zaprowadzić takiego ustroju, w którymby Prezydent Rzeczypospolitej wykonywał swą władzę, w pewnym zakresie, bez ministrów, a w innym z nimi: gdyż, albo rząd jest odpowiedzialny przed parlamentem, a wówczas musi mieć całkowitą swobodę ruchów w zakresie całej polityki, czy to zewnętrznej, czy wewnętrznej; albo nie jest przed nim odpowiedzialny, a wówczas jest tylko wykonawcą woli Prezydenta Rzeczypospolitej. Środka być tu nie może, gdyż wszystkie sprawy dotyczące zarządu państwa łączą się bardzo ściśle ze sobą.

Projekt Konstytucji B. B. usiłował wybrnąć z tych trudności w ten sposób, że cały szereg różnych spraw pozostawił Prezydentowi Rzeczypospolitej zwalniając go od potrzeby uzyskania kontrasygnacji ministrów. Pomysł ten oznacza jednak powrót do zamaskowanego absolutyzmu. To też wszystkie stronnictwa poczynając od lewicowych po przez centrowe, aż do prawicy wypowiedziały się przeciwko niemu. Zrobiły to te nawet stronnictwa, które są za zmianą Konstytucji, w kierunku wzmocnienia władzy wykonawczej i które tylko w trzech wypadkach godzą się na usunięcie kontrasygnacji ministrów na aktach Prezydenta.

Bonapartystowskim jest też pomysł wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej przez naród, a zupełnie zbędnym przez ciało specjalnie w tym celu powołane. Zresztą sam wybór Prezydenta przez naród, czy specjalne zgromadzenie, istoty władzy jego nie zmienia.

Drugi projekt rządu mówi o potrzebie należytego rozróżnienia władzy ustawodawczej od wykonawczej.

I znowu stoimy tu przed zagadką — o co właściwie chodzi?

Co należy do ciał ustawodawczych, a co do wykonawczych jest zrozumiałem samo przez się; to też nie spotykamy w innych Konstytucjach żadnych prób innych, jak te, co są w Konstytucji naszej.

Ciała ustawodawcze uchwalają ustawy, a władza wykonawcza wprowadza je w życie, po za tem posiada ona dużą swobodę działania, w granicach jaką określa Konstytucja. Władza wykonawcza rządzi jak chce, nie może tylko naruszać ustaw. Są to granice szerokie.

Ale zapominać nie należy, że ciała ustawodawcze mają prawo kontroli nad rządem i to w dwu warunkach:
1. co do zgodności postępowania rządu z ustawami;
2. co do kierunku polityki rządowej.

Każda kontrola, aby była skuteczna musi mieć egzekutywę, bez niej jest fikcją. Otóż o ile chodzi o kontrolę rządu w zakresie zgodności jego postępowania z ustawami, to zagwarantowaną jest przez odpowiedzialność sądową ministrów u nas przed Trybunałem Stanu; o ile chodzi o kontrolę polityki rządu, to znajduje ona swój wyraz w politycznej odpowiedzialności ministrów przed Sejmem.

Jeżeli więc władza wykonawcza ma być kontrolowaną, to kontrolująca ją władza ustawodawcza musi mieć prawo wnikania w jej działalność. Dokąd ma iść to wnikanie, tego żadna ustawa konstytucyjna określić ściśle nie może. Określa ją natomiast praktyka rozmaitych państw i naszego także.

Polityczna odpowiedzialność ministrów ma tę dobrą stronę, że ułatwia kontrolę przez to, że rząd musi się z nią liczyć poważnie; ale z drugiej strony daje ona i rządowi pewną broń. Istotnie, trafia się często w państwach z systemem rządów parlamentarnych, że rząd cieszący się naogół uznaniem wię-

kszości zasypywany jest przez opozycję ciągłemi interpelacjami, złośliwemi, niepoważnemi wnioskami i t. p.; wówczas stawia on kwestję zaufania, a kiedy w głosowaniu otrzymuje większość, to wzmacnia to jego stanowisko.

Żądanie zawarte w 2-gim postulacie rządu jest niewykonalne.

II.

Veto Prezydenta Rzeczypospolitej wzmacnia nieco władzę, nie jego jednak, ale rządu.

Istotnie; przy systemie rządów parlamentarnych każdy akt Prezydenta Rzeczypospolitej wymaga kontrasygnacji ministra. Prezydent nie może więc skorzystać z prawa veta bez zgody rządu. Chyba, że zrobionoby wyjątek od zasady ogólnej i zwolnionoby Prezydenta Rzeczypospolitej od potrzeby uzyskania kontrasygnaty ministra przy akcie veta.

Ale tego nie robią i ci, co dopuszczają wyłom w sprawie kontrasygnacji przez ministrów aktów prezydenta. Nie robi tego i projekt stronnictw centrowych. Ale być może, że rząd chciałby to zrobić.

Otóż przypuśćmy, że Prezydent Rzeczypospolitej stosuje prawo veta, albo bez kontrasygnacji ministra, albo w ten sposób, że zwalnia rząd, który nie chce mu jej udzielić. Cóż wówczas powstaje?

Powstają nowe trudności. Jeżeli rząd posiadający większość w Sejmie zwolniony jest przez Prezydenta wbrew większości, to powstaje: 1) konflikt w łonie władzy wykonawczej pomiędzy Prezydentem, a rządem; 2) a także pomiędzy Prezydentem, a Sejmem.

Po co to wszystko?

Ale może mi ktoś powie, że Prezydent Rzeczypospolitej może dla ułatwienia pozycji rządu, za jego wiedzą i wolą spowodować owe veto.

Na to odpowiem: Czyż nie lepiej w takim razie rozwiązać parlament i przeprowadzić nowe wybory? Wszak i tak ostateczna decyzja zależeć będzie od wyborców. Prawo rozwiązania Sejmu daję większą władzę Prezydentowi, działającemu w zgodzie z rządem, niż veto.

A prócz tego chodzi jeszcze o to, jakiego veta chce rząd: względnego, czy bezwzględnego.

O ile chodzi o pierwsze, to polega ono na odesłaniu projektu ustawy do powtórnego rozpatrzenia. Ostatecznie rozstrzygają ciała ustawodawcze. Faktycznie więc takie veto nie wzmacnia bardzo władzy wykonawczej, ale, jak widzieliśmy, może stać się źródłem konfliktów zbędnych.

Veto zaś absolutne, które obecnie nie istnieje nawet w monarchjach z systemem rządów parlamentarnych, oznacza powrót do pół absolutyzmu. Prezydent mogący nieskończoną ilość razy odrzucać każdy projekt ustawy, stałby ponad parlamentem.

Otóż nawet te stronnictwa, które pragną u nas wzmocnienia władzy Prezydenta, veto takie odrzucają.

Czwarty postulat rządu domaga się jeszcze prócz veta Prezydenta, rozszerzenia jego uprawnień ustawowych. § 44 w ustępach 5 i 6 daje Prezydentowi Rzeczypospolitej bardzo rozległe prawa w zakresie wydawania rozporządzeń z mocą ustawy. Nie podobna więc zrozumieć, czego jeszcze chce rząd w tym zakresie. Gdyby rozszerzyć jeszcze w tej dziedzinie prawa Prezydenta, to wogóle ciała ustawodawcze straciłyby rację bytu. Żaden szanujący się Sejm dalej nie pójdzie w ustawodawczych uprawnieniach Prezydenta Rzeczypospolitej.

Piąty postulat rządu dotyczący określenia jego uprawnień, o czem już wspominałem wyżej i jego trwałości.

Co do tej trwałości, to pisałem już o tem w „Placówce" i powtarzać tego nie mam potrzeby.

Wreszcie ostatni postulat rządu dotyczący ścisłego określenia odpowiedzialności poselskiej.

Nie wiadomo właściwie o co tu chodzi? A domyślić się trudno. Zaznaczę tylko, że zarówno rząd, jak i rozmaite stronnictwa w rozważaniach konstytucyjnych stale popełniają ten błąd, że przeważnie za mało przywiązują wagi do doświadczeń historycznych i współczesnych państw innych. Wysuwają postulaty, które już się przeżyły przed laty 70 czy 80-ciu.

Widzimy więc, że poglądy rządu w sprawie przyszłej Konstytucji są absolutnie niemożliwe do przyjęcia, że nie łączą się one ani z logiką prawną, ani z doświadczeniem historycznem, ani z dążeniami stronnictw, reprezentujących ogromną większość narodu.

Możemy zresztą z całą stanowczością przypuszczać, że jeżeliby miało przyjść do jeszcze ściślejszego sprecyzowania poglądów konstytucyjnych rządu, to okazałoby się, że byłyby one jeszcze trudniejsze do przyjęcia.

Tak więc, nie można wróżyć powodzenia tej rozpoczętej rewizji konstytucji. Nie znaczy to, aby jej zaprzestać. Skoro ją rozpoczęto, to trzeba doprowadzić ją do końca i zainteresować nią całe społeczeństwo.

Ale zgóry trzeba sobie powiedzieć, że jest zupełnie rzeczą zrozumiałą, że przy obecnych anormalnych stosunkach — metodyczna, poważnie przeprowadzona Konstytucja jest nader trudną do urzeczywistnienia.

Stronnictwa polityczne powinny iść swoją drogą, uchwalać to, co uważają za stosowne, nie oglądać się na rząd, a robić swoje, uświadamiać szerokie koła społeczne o tem, co jest przedmiotem sporu o zagadnieniach konstytucyjnych i nie łudzić się, że drobnemi ustępstwami da się osiągnąć porozumienie z czynnikami ,które chciałyby Sejm i Senat zepchnąć do roli podrzędnej, a odpowiedzialność rządu ograniczyć do minimum.

Różnice pomiędzy poglądami nawet stronnictw umiarkowanych i skłonnych do pewnego kompromisu, a poglądami rządu są zbyt wielkie, aby można było coś pośredniego przeprowadzić.

Pierwszym warunkiem zdrowej polityki jest mieć jasny pogląd na to, co jest i na to co jest możliwe.

Ludwik Kulczycki.

OD REDAKCJI:

Powyższy artykuł prof. Kulczyckiego został napisany przed ostatnią mową p. Bartla w Senacie. Wyrażone tam poglądy będą przedmiotem osobnych uwag w jednym z najbliższych numerów „Placówki".

Dyplomacja polska

Pan minister spraw zagranicznych, trwający na tem stanowisku już blisko cztery lata, wyróżnia się od swych gadatliwych kolegów małomównością. Nie pomnąc na to, że od czasu utworzenia Ligi Narodów, tajna dyplomacja została w teorji (choć może nie w praktyce) uroczyście potępiona, (tak samo jak wojna) uprawia on w sprawach polityki zagranicznej konspirację w stosunku do własnego narodu.

Można bez przesady twierdzić, że gdyby nie prasa obca, nie wiedzielibyśmy prawie nic o stanie naszych interesów na międzynarodowym terenie. W każdym innym kraju europejskim, posiadającym rządy konstytucyjne, tego rodzaju stosunek męża stanu, do przedstawicielstwa narodowego i do opinji publicznej byłby wręcz nie dopuszczalny. Chcąc mieć silne stanowisko na konferencjach międzynarodowych, a nawet w układach z poszczególnemi państwami, minister spraw zagranicznych, rozmyślnie wywołuje tam publiczną dyskusję o sprawach postawionych na porządku dziennym, by módz się powołać na wyraz woli narodu, który go do obrony swych interesów powołał. Zarówno zobowiązania i ustępstwa — jak też i żądania, tylko wtedy mają wagę, gdy za niemi opowiada się naród, — realizacja ich bowiem od niego będzie zależała, nie od osoby przemawiającej w danej chwili w jego imieniu.

Swej zupełnie chybionej taktyce musi p. Zaleski przypisać, że coraz mniej liczą się z nim tam, gdzie rozstrzygane są najdonioślejsze sprawy międzynarodowe.

Dokonywa się likwidacja wojny ludów, której zawdzięczamy wskrzeszenie Polski. Ta akcja pojednania, wyrównania sprzeczności, gaszenia ostatnich iskier światowego pożaru, może być bardzo pięknym i budującym aktem historycznym, ale z tego punktu widzenia oceniać ją może tylko objektywny, bezstronny obserwator, takie np. Stany Zjednoczone z zasady unikające wszelkiego angażowania się w interesy europejskie, — ale żadną miarą nie Polska, której istnienie — jak dowiodła historja — od układu stosunków europejskich zależy w wysokim stopniu.

Koalicja trzech wrogów pogrzebała państwo polskie w końcu XVIII-go stulecia; zerwanie tej koalicji w w. XX-ym pozwoliło je wskrzesić. Trochę za często może powtarzamy, że istnienie Polski jest niezbędne dla pokoju i bezpieczeństwa Europy, że Polska jest — zgodnie ze zdaniem Napoleona, (sformułowanem, zresztą zbyt późno, bo dopiero na wyspie Ś-tej Heleny) „kluczem sklepienia“. Jakkolwiek jestto oczywistą prawdą i dziś, tak samo jak było za pierwszego i drugiego Cesarstwa i za Burbonów — jednak bynajmniej nie przeszkodziło to w swoim czasie monarchjom europejskim pogodzić się z rozbiorami Polski, przyjąć spokojnie do wiadomości upadek listopadowego i styczniowego powstania, nie skłoniło ich również w czasie rokowań pokojowych w Wersalu do obstawania przy granicach Polski historycznej, a w czasie inwazji bolszewickiej do udzielenia nam skutecznej pomocy, aby ów „klucz“ umocnić i od zawalenia się sklepienie uchronić.

Nie ze względu na Europę, lecz na nas samych, za cenę krwi naszych synów okupiliśmy całość i niepodległość naszej ojczyzny, głęboko przekonani, że nawet najszczersi i najpotężniejsi nasi sprzymierzeńcy w tem nas nie wyręczą.

A tak samo, jak na polu bitew, nie wyręczą nas również na terenie układów dyplomatycznych. Inne państwa europejskie — w Genewie, Hadze czy Londynie — bronią każde swoich interesów, swojego bezpieczeństwa, potęgi, bogactwa. My musimy robić tak jak one, a to tem śmielej i energiczniej, gdy mamy przekonanie, że wzmacniając Polskę już przez to samo utwierdzamy „sklepienie“ Europy.

Osatnie swoje przemówienie w komisji zagranicznej Senatu zakończył pan minister zdaniem, że bądź co będź — tylko na samych siebie liczyć możemy.

Ten frazes ogólnikowy — będący w swem najszerszem znaczeniu komunałem, którego wcale nie warto było wygłaszać, w ściślejszem, konkretnem zastosowaniu jest aż zatrważającem wyznaniem własnej nieudolności i zupełnego *bankructwa* tej polityki, która od czterech lat spoczywała w ręku pana Zaleskiego.

Jeżeli „liczyć na samych siebie“ nie oznacza również liczenia na mądrość, czujność, przezorność, energję i konsekwencję naszych dyplomatów, to pozostanie już tylko poleganie na sile naszej armji, to jest uciekanie się do wojny, jako jedynego środka — rozwiązywania zagadnień naszej polityki narodowej, przeciw czemu właśnie nasi mężowie stanu w Lidze Narodów jaknajuroczyściej się odżegnywali, a później tak głośno szczycili się tutaj w Sejmie i w prasie!

Pan Zaleski ze szczególnem upodobaniem akcentuje w swych przemówieniach zasługi Polski dla utwierdzenia pokoju europejskiego, zupełnie tak jakgdyby tylko na to dzierżył swą tekę, by Europę zabezpieczać od trudności ze strony Polski, nie zaś odwrotnie strzedz Polskę od wszelkiego uszczerbku, jakim by jej to lub owo z państw europejskich grozić mogło. My zaś bynajmniej nie obawiamy się, byśmy czasem harmonji ogólnej nie zakłócili, lecz strach nas ogarnia na myśl, by nam za ten dźwięczny koncert nie kazano zbyt drogo zapłacić.

Trwoga nasza nie jest bynajmniej płonna i bezpodstawna.

Szukając w prasie obcej objaśnień, jak tam nasze sprawy na szerokim świecie wyglądają, jesteśmy dzień po dniu karmieni wieściami, że całe Niemcy, jak długie i szerokie, we wszystkich swoich warstwach i odłamach, zaczynając od katolików a kończąc na socjalistach, — uważają nasze granice zachodnie za absurd, domagając się korekty i nie*przestaną dążyć do okrojenia w tem miejscu naszego terytorjum.*

Dowiadujemy się również, że żaden układ międzynarodowy nie gwarantuje nam nienaruszalności tej granicy, żaden z naszych sojuszników nie zobowiązał się jej bronić. Przeciwnie nasi sprzymierzeńcy niczego nie pragną goręcej jak zaprzyjaźnić się z naszym przysięgłym wrogiem, a od nas oczekują, że im tego pojednania niczem nie utrudnimy.

Skwapliwie spełniając to życzenie, spieszymy

ze swej strony zawrzeć układ z Niemcami, bo i my przecież nie gorsi; i nam o zgodę chodzi.

Zdawaćby się mogło, że wstępem niezbędnym do każdej ugody musi być uznanie całości skóry kontrahenta.

Nikt nie podpisał by żadnego kontraktu z człowiekiem, który by się odgrażał, że cokolwiek będzie napisano, dziś czy jutro obetnie mu rękę lub nogę.

My nie ośmielemy się nawet postawić tego wniosku, żeby Niemcy przestali grozić nam podobną amputacją.

Ze tak jest w istocie rzeczy przekonywa nas o tem analiza pierwszego kroku „pokojowego" naszej dyplomacji, jakim było zawarcie umowy likwidacyjnej z Niemcami w dn. 31 października ub. roku. Zajmiemy się nią w następnym artykule.

Iza Moszczeńska

Refleksje

III.

Z kolei omówić należy punkt drugi - b), o fałszywem ustosunkowaniu się władzy państwowej do rolnictwa.

Muszę na wstępie jednak zaznaczyć, iż po namyśle przyszedłem do wniosku, że określenie moje: fałszywe ustosunkowanie się — jest nieścisłe, nieodpowiadające istotnemu stanowi rzeczy; bowiem ustosunkowanie się, choćby fałszywe nawet, mówi samo przez się o jakimś programie, w działaniu wymagającym ciągłości. Zaś stosunek rządu do rolnictwa jest wybitnie dorywczy, nadto wręcz niekiedy bezsensowny, a zawsze — za wyjątkiem kilku zarządzeń p. Premjera Bartla — dyletancki.

Wynika to z fałszywego poglądu na rolnictwo. Dla charakterystyki i uzasadnienia zarzutów podajemy kilka przykładów.

— — — — — — — — — —

Przykład I-szy.

W dawnym zaborze pruskim obowiązują w rolnictwie ustawy i przepisy pruskie, w myśl których musi rolnik corocznie czwartą część swej roli posiać, względnie obsadzić roślinami, które gruntowniejszej uprawy wymagają, spulchniają ziemię i zaopatrują ją w sole potasowe — musi ubezpieczyć obowiązkowo, oprócz budynków, od ognia inwentarz żywy i martwy jako też zboże — w polu od gradobicia; natomiast nie wolno mu sprzedawać słomy, lecz musi ją zamienić drogą odpowiedniego zużytkowania w obornik i z powrotem zwrócić ziemi.

Przytoczyłem tylko niektóre obowiązujące postanowienia, ilustrujące myśl i dążenia prawodawcy; te dążenia, wnikające w istotne potrzeby rolnictwa, zamienione w ustawę zmusiły właściciela do wykonywania rzeczy, dla racjonalnej gospodarki niezbędnych.

Czy wiedzą coś o tem nasi Ministrowie rolnictwa?

Jeżeli wiedzą, dlaczego mocy tych ustaw nie rozciągnięto na wszystkie dzielnice Polski?

A może Panom Ministrom nie jest wiadomo, ile wyrządza szkody rolnictwu grad, ulewy, ogień i ile rodzin iść musi z tego powodu w świat z torbami?

Lub, że są ziemię na których przy odpowiedniej uprawie mogą się rodzić buraki i pszenica, zaś wskutek zaniedbania i niewiedzy rodzi się ubogo żytko?

Jeśli tego nie wiedzą i temi sprawami się nie interesują, w takim razie co wiedzą i czem się interesują?

Przykład II-gi.

W całej Rzeczypospolitej, za wyjątkiem Poznańskiego, handel zbożem zagarnęli w swoje ręce kupcy-żydźi. Oni skupują ziarno od rolników, oni to ziarno wysyłają za granicę i do miast polskich. Lecz czy jest wiadomo komu należy w jaki sposób oni to robią i jakie to jest zboże?

Ceny — gdzie niema kooperatyw — kupcy wyznaczają sami; nigdy ich nie obowiązuje cena podawana w pismach. To też między ceną oficjalną a rzeczywistą, szczególnie na kresach, różnica jest wielka, sięgająca niekiedy 5 — 7 zł. na metrze.

A już bieda prawdziwa, gdy rolnik, przyciśnięty potrzebą — o czem kupcy mało-miasteczkowi są przez pośredników, żydów wiejskich doskonale poinformowani — jest zmuszony zboże swoje sprzedać. Bierze wtedy taką cenę, jaką mu, niby z łaski dają.

Bo cóż ma robić?

Kupiec miesza razem ziarno suche, mokre, zdrowe, porośnięte, zleżałe, nadto do pszenicy dodaje jedną czwartą jęczmienia, dla niepoznaki obrobionego przez t. zw. śrótowiec — i odstawia.

My mąkę z takiego zboża spożywamy — i nic, jako że jesteśmy cierpliwi.

Gorzej gdy raz to spożyje konsument obcy. Drugi raz zapewne nie zechce — drugi raz mąkę sobie kupi z innego zboża, nie z polskiego.

Kontrola zboża wywożonego zagranice nie istnieje. Mam na myśli kontrolę państwową. Gdyby istniała nie uskarżanoby się na złe ziarno i nie byłoby tak trudno o zdobycie rynków zbytu.

Zaś o tem, żeby rolnik był ustawowo zabezpieczony przed wszystkiem, ani marzyć u nas.

Przykład III.

Nie wiem dokładnie przed ilu laty Sejm uchwalił ustawę o scaleniu gruntów, w każdym razie dosyć już dawno. Ponieważ ludzie miastowi mogą nie zdawać sobie sprawy z jej ważności, więc pozwolę sobie na kilka słów wyjaśnienia.

Mniejsze gospodarstwa rolne powstawały drogą skupu ziemi kawałkami. Ktoś miał z uwłaszczenia lub kupił sobie przed wielu laty jeden mórg ziemi, do tego morga po pewnym czasie dokupił w innem miejscu drugi kawałek, potem trzeci, czwarty, dwudziesty.

Znam gospodarzy, — a można ich naliczyć na tysiące — którzy swoje pare hektarów ziemi mają rozrzucone w 36 kawałkach w promieniu pięciu kilometrów, a często więcej. Więc są „pola" na krok szerokie a pięć tysięcy kroków długie; są małe kwadratowe nie większe od nowoczesnego podwórka warszawskiego; są klinowate i półokrągłe — są takie wreszcie, że gdy rolnik, chcący zacząć orać puszcza pług w ziemię, konie przedniemi nogami stoją już na ziemi cudzej — i takie, na które dla wązkości broną nigdy gospodarz nie wjeżdża, ani z kosą nie wchodzi.

Refleksje (c. d.)

I pomyśleć, że te wszystkie kwadraciki i paseczki dzielą miedze. Scalić to, a wyjdą obszary.

W lecie, gdy zboże wybuja, a w zbożach zakwitną kwiaty wszelkiego (sic) rodzaju, bajecznie to barwne i piękne. Malarz i wielko-miejski entuzjasta na widok takich pól wpada w zachwyt.

Rolnik nie!

Istne komedje, często przechodzące w tragedje odgrywają się w rodzinie rolnika przy podziale tych kawałków między sukcesorów, jako że mowy być nie może o równej jakości ziemi, rozrzuconej na takiej przestrzeni wielkiej.

Więc też ojciec, chcąc uniknąć kłótni, dzieli każdy taki kawałek na tyle części, ile ma dzieci; jeśli zaś stosuje inną metodę podziału, w rodzinie powstają swary, kłótnie, bójki, a niekiedy zabójstwa, znane ludziom miastowym z rozpraw sądowych.

Otóż ustawa o scaleniu miała temu wszystkiemu kres położyć — miały powstać gospodarstwa jednolite, t. j. z jednego kawałka ziemi się składające.

Istne dla rolników i porządku w państwie dobrodziejstwo.

Aliści znalazł się ktoś, kto w przepisach do ustawy, czy w samej nawet ustawie umieścił wzmiankę, na pozór nic nie znaczącą, — że na przeprowadzenie komasacji trzeba uprzednio uzyskać zgodę zainteresowanej wsi.

Zapytuję się was Panowie z właściwego ministerstwa, czy departamentu, czy pytacie się o zgodę gromady, gdy powołujecie młodzież do odbycia powinności wojskowej, lub nakładacie podatki, szczepicie ospę ochronną, gdy wreszcie wzywacie dzieci do uczęszczania do szkoły?

Nie.

Sejm uważając daną sprawę za konieczność państwową, nadał jej formę i moc ustawy.

Więc dlaczego trzeba się pytać o zgodę nieuspołecznionego wieśniaka jeśli wiadomo, że przeprowadzenie ustawy jest konieczne i na dobre mu wyjdzie, lubo on sam o tem nie wie?

Rolnik na kresach wschodnich zgodzi się na scalenie, o ile będzie miał pewność, że przy tej okazji pomnoży kosztem sąsiada swój stan posiadania — jest zaś na tyle sprytny, iż wie, że jego sąsiad z prawej i lewej strony o tem samem marzy.

Ponieważ niema pewności, że się zbogaci i niema też pewności — z braku zaufania do urzędnika— czy jego sąsiad się nie zbogaci, i z przyrodzonego jeszcze lenistwa i konserwatyzmu — dwóch pojęć bratnich — na komasacje się nie godzi.

W rezultacie scalenie, ze szkodą dla rolnika i Państwa, ciągnie się lata i ciągnąć się będzie bardzo jeszcze długo.

Do tych czytelników, których powyższe trzy przykłady nie przekonały — przytoczę czwarty.

Był sobie w Min. Spraw Wew. (tak) pewien pan, nazwiskiem Szwalbe. Pan ów, chcąc się kosztem Państwa zabawić w przedsiębiorcę zbożowego, zarządził z powodów dla ludzi normalnych niezrozumiałych, by czasu pokoju, w roku urodzajnym, sprowadzono po żniwach bezpośrenio do kraju wielkie ilości zboża obcego. Nadto, by na polskie zboże, przeznaczone na eksport nałożyć wysokie cło. Polecił również by w kraju zakazano spożywania z białej mąki ciastek, chleba, klusek nawet.

Wszystkie te zarządzenia wypełnione przez władze zostały skrupulatnie przy cichej — jak zawsze — aprobacie społeczeństwa.

Z kraju wywieziono niepotrzebnie mase pieniędzy i jednocześnie zatamowano przypływ z zagranicy tychże.

Utworzył się zator zbożowy; bo przyjść musiała katastrofa.

Rodzi się pytanie:

Gdzie byli wtedy P. P. Ministrowie Rolnictwa, Skarbu. Przemysłu i Handlu wreszcie — i gdzie się podziały na ów czas siły „fachowe" rolnicze ze sfer ziemiaństwa?

Nikt się nie znalazł, ktoby zaprotestował.

Pan Szwalbe, marzący o karjerze Kazimierza Wielkiego dostał dymisję.

O innych geniuszach się milczy, bo wstyd.

Pozwolę sobie na zakończenie na wnioski.

Jako że 60% obywateli w Polsce utrzymuje się i żyje z roli, Minister Rolnictwa powinien posiadać wybitną wiedzę fachową i — nadto — charakter.

Powinien być w gabinecie osobą pierwszą po premjerze.

Powinien być wyposażony w program, który ma opracować specjalna komisja, złożona z ludzi fachowych światłych.

Program ten ma obowiązywać wszystkie rządy, aż do urzeczywistnienia go.

Polskie placówki zagraniczne mają się starać o wynalezienie rynków zbytu dla naszego zboża.

Nad zbożem, przeznaczonem na eksport, rząd rozciąga kontrolę i daje gwarancję w zakresie jakości ziarna.

Wewnątrz wydaje sie ustawy, chroniące rolnika przed wyzyskim.

Gdy rolnik będzie miał zapewniony rynek zbytu dla zboża, postara się o powiększenie wydajności roli, na co potrzeba roboczych rąk. Zmniejszy się więc w sposób naturalny bezrobocie na wsi — nie trzeba będzie zawalać obcych rynków naszym ludem, co się dzieje dzisiaj — przy jednoczesnem nadawaniu obywatelstwa milionowi sześć kroć sto tysiecy obcych przybyszów, których papiery, jak się chwalił generał — minister, nie zawsze były w porządku — i co przypomina owe smutne czasy, gdy nazwę Slavus — słowianin, przemieniono na Sclavus — niewolnik.

Rolnik z pieniądzem w kieszeni zakupi sobie różne rzeczy potrzebne, wyrabiane przez polskiego robotnika; wzmoże się produkcja w miastach, zmniejszy, znowóż w sposób naturalny bezrobocie.

Tylko trzeba umieć chcieć.

I mniej radosnej, bezprogramowej twórczości słowem: bałagaństwa — a więcej rozumu i rozwagi.

Kazimierz Wierzelin.

BOZIEWICZ

Dzieje ludzkości znają imiona wielkie, które przeniknęły poprzez wieki jedynie dzięki temu, że przetrwały dokonane przez nich dzieła lub pamięć tych dzieł. O Homerze i Heroklatesie wiemy tylko tyle, że jeden z nich ułożył (niewiadomo nawet czy napisał) Iljadę i Odyseję, drugi spalił znany w swej epoce kościół, natomiast żadnych danych biograficznych o tych, tak do dziśdnia popularnych mężach nie wiemy i nigdy zapewne wiedzieć nie będziemy. Ba, są tacy którzy wogóle nie wierzą w istnienie kiedykolwiek na świecie Homera czy Szekspira, króla Popiela czy mistrza Twardowskiego.

Jakie ćwierć wieku temu Andrzej Niemojewski starał się przekonać swych czytelników, że postacie nowego testamentu z Chrystusem na czele nie istniały nigdy realnie, nie są one upostaciowaniem prastarych mitów gwiezdnych; za lat kilkaset może jaki potomek Niemojewskiego zechce twierdzić, że np. współczesne nam wybitne osobistości ze świata sanacyjnego nigdy nie chodziły po świecie, że należy je uważać za odgłosy mitów gwiezdnych, a skierowana przeciwko nim niechęć i żal potomnych pokoleń polskich będą adresowane conajmniej w mylnym kierunku.

Do postaci ogólnie znanych w społeczeństwie polskiem epoki powojennej należy Boziewicz. Kiedy i gdzie się człowiek ów narodził, kiedy i gdzie umarł (ewentualnie gdzie żyje i działa), —niki tego nie wie; czem był, czy jest — człowiekiem pracy czy ptakiem niebieskim, endekiem czy sanatorem — to również okrywa głęboka tajemnica. Jak wyglądał czy wygląda, jak się nosił (nosi), jakie miał (ma) upodobania i skłonności — największy nawet jego czciciel nie zdoła powiedzieć.

Ale mąż ten z dumą może do siebie stosować odę Horacego: Exegi monumentum aere perennius

Tak, wzniósł on sobie pomnik trwalszy od spiżu, a uczynił to przez ułożenie... „kodeksu honorowego".

Może pan Boziewicz był przykładnym synem, mężem, ojcem i dziadkiem, może wychował liczne potomstwo na chlubę Rzeczypospolitej, może dokonał czynów pożytecznych, przeżył dobrze i uczciwie swe życie, — a może.... i nie... O tem wszystkiem nikt nic nie wie,— natomiast każdy zna go jako autora „kodeksu honorowego".

Nie zmniejsza jego wielkości fakt, że w swej wielkiej pracy (wielkiej nie rozmiarami, lecz jej doniosłością) mąż ów pilnie posiłkował się analogicznemi „prawami" z literatury niemieckiej.

Kiedyś przed wojną, ba nawet przed czterema jeszcze laty dzieło Boziewicza nie było jeszcze tak znane szeroko, jak obecnie; pracy propagandystycznej na rzecz rozsławienia dzieła naszego wielkiego współrodaka podjęli się i z powodzeniem ją przeprowadzili posłowie Bloku Bezpartyjnego.

Przed wojną egzemplarze „kodeksu honorowego" nie figurowały po wystawach księgarskich; legiwały one sobie na ciemnych tylnych półkach obok senników, ksiąg wróżbiarskich i poradników dla zakochanych. Jedynemi nabywcami tej broszury bywali wzorujący się na „burszenszaftach" niemieckich nieliczni wówczas i niepopisujący się „barwami" podczas pobytu w kraju egzotyczni korporanci, a interpretatorzy i znawcy „kodeksu" kryli się w szeregach, „wiecznych studentów".

A jeśli zaś ktoś czuł potrzebę prawowania się przed sądem honorowym czy robienia dziur w powietrzu, — nie wertował broszury Boziewicza, lecz kroki swe dostosowywał do żywych tradycyj, — i jakoś nie wynikała stąd żadna dotkliwa krzywda dla biegu spraw prywatnych czy ogólnych.

Przeniesienie po wojnie korporacyj na teren Polski i bujny ich rozkwit walnie się przyczynił do podniesienia autorytetu Boziewicza; ale dopiero wytężona akcja działaczy B. B. postawiła „kodeks honorowy" na tej wyżynie, na jaką wielkie to dzieło zasługuje.

Prasa sanacyjna lubi stale podkreślać, że w Polsce rozbieżne przekonaniowo czynniki sprzymierzają się nieraz w walce przeciw sanacji o praworządność w kraju; fakty te są nietylko podkreślane, ale i wyzyskane na wszelkie możliwe sposoby.

A przecież czyż może być bardziej jaskrawy przykad takiego stykania się przeciwieństw, jak wspólne ubóstwianie Boziewicza przez filistrów korporanckich z jednej strony, a posłów B. B. — z drugiej.

Nie potrafią oni dostroić swych głosów do zgodnego śpiewu „Pierwszej brygady", jak wskazuje zajście na urczystości 36-go pułku piechoty, — ale w Boziewicza wierzą wspólnie i bez wahania.

Posłowie B. B. składają hołdy Boziewiczowi w sposób znacznie bardziej demonstracyjny i hałaśliwy, niż którzykolwiek inni wyznawcy „kodeksu". Ludzie ci uważają, że awantury, wrzaski, puszczanie w ruch pięści, walenie i branie po pyskach — wszystko to nie przynosi im ujmy, — przeciwnie, świadczy dobrze o ich temperamencie i zdolności do rządenia Polską, — jeżeli tylko po każdym wybryku nastąpi wymiana sakramentalnych formuł i gestów z dziedziny zmechanizowanej magji honorowej.

Ba, gdy im ktoś — z racji swych odwiecznych poglądów — odmówi współudziału w puszczeniu w ruch paragrafów Boziewicza, — mają doń szczery, choć naiwny żal o zepsucie im boziewiczowskiego przebiegu całej sprawy i żalowi temu dają niejednokrotnie wyraz w swych występach publicznych.

Plotką też jest, jakoby posłowie B. B. myśleli o „okrcjowaniu" konstytucji, któraby zapewniła ich stronnictwu rządzenie Polską na wieki, względnie aż do wybuchu wywołanej tym rządzeniem rewolucji; natomiast nie ulega wątpliwości, że pragną oni za wszelką cenę „okrojować" kodeks Boziewicza.

Albowiem Boziewicz wielkim jest autorytetem, a słowa jego trochę tylko mniejszą wagę mają w Polsce, iż słowa najwyższego autorytetu...

Czasem temu lub owemu posłowi B. B. przychodzi do głowy, że jednak może przed nadaniem „kodeksowi" Boziewicza charakteru państwowego prawa ogólnie obowiązującego należałoby tekst „kodeksu" nieco zmodernizować: np. w myśl głębokich zasad tego filaru prawodawstwa członkiem honoru w Polsce może być tylko mężczyzna, i to najwyżej co setny, — szlachcic, oficer, student. Nawet w stosunku do posłów lub ministrów grube zachodzą wątpliwości.

Tylko że taki nieprawomyślny członek B. B. za nic się nie zdradzi ze swemi wątpliwościami.

Natomiast nikomu w B. B. nie przychodzi do głowy, że gdyby zechciał on wystąpić ze swym Boziewiczem np. w Austrji, gdzie przecież stworzono pojęcie dżentelme-

Boziewicz (c. d.)

na, — to z początku nie zrozumiano by go wcale, a następnie odesłano do szpitala warjatów. Pozwolono by mu się poboksować, ale bez dalszych obrzędów magicznych.

W wypadkach, gdy na argumenty przeciwnika można odpowiadać jedynie krzykiem lub pięścią, t m kodeks Boziewicza, który drogą mechanicznych gestów zagładza prędko i dobrze ewentualny niesmak, wywołany takiemi argumentami, — otóż ten kodeks teraz oddaje doniosłe usługi czcicielom owym z B. B. W. R. (Boziewiczowskiego Bractwa Walki Ręcznej).

J. Lipowiecki

KULISY POLITYKI

Echa, niedyskrecje, zgrzyty...

BOMBA P. BARTLA.

Tydzień cały pracował Senat nad budżetem w atmosferze powagi i spokoju, jak na „Izbę Wyższą" przystało. I nic z zewnątrz spokoju tego nie burzyło, tembardziej, że w komisji wszystkie poprawki rządu, korygujące „złośliwe" skreślenia Sejmu — zostały uchwalone.

Nastrój był taki, że nawet zaczęto mówić o tem — i to po zgłoszeniu w Sejmie wniosków poselskich o votum nieufności dla pp. Prystora i Czerwińskiego, że nie jest wykluczone, iż w ostatniej chwili Senat uchwali budżet w brzmieniu sejmowem, tak, jak to już raz uczynił w 1928 roku.

Decyzja taka umożliwiłaby wcześniejsze zamknięcie sesji, co wprawdzie nie należy do najbardziej właściwych sposobów rozwiązywania trudności politycznych, ale ma za sobą w okresie pomajowym już dość liczne precedensy.

I nagle w tak pogodnie układającą się sytuację wpada bomba w postaci środowej mowy p. premjera Bartla.

NIEZNANE MOTYWY.

Ani w Senacie, ani w Sejmie, ani w opinji publicznej tembardziej, nikt nie jest w stanie zdać sobie sprawy, jakie istotne rzeczowe przyczyny spowodowały to wystąpienie.

Chęć wypowiedzenia się w zasadniczej kwestji politycznej, jaka jest w tej chwili na porządku dziennym, to jest w sprawie rewizji Konstytucji? Ależ przecie jeszcze tydzień temu, ten sam p. Bartel na zaproszenie komisji konstytucyjnej Sejmu do wypowiedzenia się w tej sprawie, odpowiedział w sposób wymijający, odraczając merytoryczne zajęcie stanowiska do późniejszej, bliżej nieokreślonej przyszłości.

Trudno wyobrazić sobie, by nagle, po kilku dniach zaledwie, uznał za możliwe, i to, przed forum w danych warunkach prawnych całkowicie dla sprawy rewizji Konstytucji niekompetentnem — rozwijać tam swoje poglądy. Trudno w to uwierzyć tembardziej, że równocześnie właśnie prasa przyniosła urzędowy komunikat o powołaniu przez p. premjera „specjalnej komisji, złożonej z wybitnych teoretyków i praktyków prawa konstytucyjnego, w celu wysłuchania ich opinji o zagadnieniach ustrojowych, nasuwających się przy rozważaniu rewizji Konstytucji".

Jakież tedy motywy tego niespodziewanego, a i niebywałego, jeśli chodzi o mówcę, zarówno co do formy, jak i treści — wystąpienia?

WYRÓWNANIE FRONTU.

Motywów tych, oczywiście nie znamy. Możemy się ich domyślać, możemy snuć przypuszczenia, pomagać sobie analogjami. To jedno jest pewne, że zadecydowały o nich względy przedewszystkiem, jeśli nie wyłącznie, taktyczne.

Przemawia za tem domniemaniem sam charakter przemówienia. Pod względem merytorycznym nie przynosi ono absolutnie nic nowego, zarówno w stosunku do poprzednich enuncjacji ustrojowych p. Bartla (o ileż jednak poprawniejszych w formie!), jak i w porównaniu w daleko bardziej im pokrewnemi „prelekcjami" niefortunnego jego poprzednika z Filharmonji, lub „odczytami" jego ministrów.

Nowem jest to, że do tego samego „poziomu" dopasował swoje wystąpienie nie kto inny,, ale właśnie p. Bartel, ten sam p. Bartel, który przed niespełna rokiem ustępując swoje miejsce p. Świtalskiemu, wyraźnie podkreślił, że odchodzi, bo ma własną metodę „leczenia" wad parlamentaryzmu, a z inną pogodzić się nie może. Ten sam p. Bartel, który nie może narzekać na to, by Sejm w ciągu ubiegłych 11-u tygodni, od chwili powrotu jego do władzy, utrudniał mu sytuację, robił mu rozmyślnie trudności...

I nagle wyrównanie przezeń frontu z p. Świtalskim...

DRAŻLIWY ZBIEG OKOLICZNOŚCI.

Bezpośrednio po mowie p. Bartla, w ożywionych wyjątkowo kuluarach sejmowych, zwracano uwagę na następujący zbieg okoliczności, który nie mógł nie pozostać bez wpływu na wystąpienie premjera w Senacie.

W ubiegłą sobotę zgłoszone zostały w Sejmie wnioski poselskie o votum nieufności dla ministrów: Prystora i Czerwińskiego. Wnioski te głosowane będą na najbliższem posiedzeniu w piątek 14 b. m.

Według półoficjalnych zapowiedzi, p. Bartel ma zamiar zsolidaryzować się z działalnością zaatakowanych ministrów i w ten sposób postawić kwestję zaufania całego gabinetu.

Równocześnie w tym samym dniu, który p. Bartel wybrał dla swej mowy w Senacie — sejmowa podkomisja budżetowa przystąpiła do rozpatrywania sprawy kredytów dodatkowych za rok budżetowy 1927-28. Pod tą niewinną formą kryje się, ni mniej ni więcej, tylko całe clou t. zw. sprawy b. ministra skarbu Czechowicza. Załatwienie tej sprawy przesądzi in merito stanowisko Sejmu w postawionej przez Trybunał Stanu kwestji wydania opinji co do celowości poczynionych wydatków.

W ten sposób stanęły na porządku dziennym dwie sprawy niemałego znaczenia politycznego, dodajmy sprawy doniosłe i drażliwe.

CZY W OBRONIE ZAGROŻONYCH MINISTRÓW?

Zachodzi pytanie, czy sprawy te można było pominąć, czy stanowią one dla szefa rządu istotnie jakąś niespodziankę, wobec której musiał on zareagować aż w taki sposób, jak to uczynił w swej mowie w Senacie.

Sprawa niezadowolenia większości Sejmu z działalności ministrów pracy oraz wyznań religijnych i oświecenia publicznego — nie może stanowić niespodzianek dla kogoś, kto uważnie wsłuchiwał się w dyskusję, jaką prowadzono w Sejmie przy rozpatrywaniu budżetu obu tych resortów.

Próba obrony polityki p. Prystora na gruncie istniejących przepisów prawnych o samorządzie ubezpieczeniowym — jest beznadziejną. Nikt też w tej płaszczyźnie nawet nie usiłował jej bronić.

Co do p. Czerwińskiego, to nawet rożniąc się w ocenie jego polityki szkolnej i wychowawczej — każdy nieuprzedzony obserwator jego wystąpień parla-

mentarnych przyzna, że sposób, w jaki on pojmuje rolę i zadania ministra oświecenia nie da się pogodzić z rolą tego wysokiego urzędu. Zrozumiano to nawet w „sferach wyższych", gdzie podobno los p. Czerwińskiego jest już przesądzony, o czem p. Bartla mógłby poinformować chociażby b. pos. Radziwiłł... O cóż tedy chodzi?

FATALNY ROK.

Pozostaje sprawa istotnie najdrażliwsza: przekroczenia w budżecie za rok 1927-28, sprawa, o której już raz „potknął się" p. Bartel, a która p. Czechowicza zaprowadziła aż przed Trybunał Stanu.

Czy jednak ktokolwiek mógł choć na chwilę przypuszczać, by w tej sprawie Sejm, nastrojony nawet najbardziej pojednawczo wobec jakiegokolwiek rządu „pomajowego" — był w stanie iść na jakieś ustępstwa...

Sejm w obecnej sesji sprawy b. ministra Czechowicza nie nadużywał. Raczej możnaby mu postawić zarzut, że zastosował w stosunku do niej taktykę zbyt daleko idącego i zbyt wyrozumiałego odwlekania. Postawiony decyzją Trybunału Stanu wobec konieczności wypowiedzenia swej opinji co do celowości poczynionych wówczas wydatków — nie śpieszył się z podjęciem tej pracy. Wpierw, według pewnej metody załatwił zamknięcia rachunkowego za poprzednie lata budżetowe. Aż wreszcie zkolei rzeczy przyszedł na porządek dzienny i ów fatalny rok 1927-28...

Kości w tej sprawie padły w lutym 1929 roku. Niech sobie p. Bartel przypomni ówczesne swoje w tej sprawie błędy, czy niemożności... Ale Sejm dziś z tej drogi niema możności odwrotu!

TRAGICZNY LOS.

W świetle tej objektywnej oceny sytuacji parlamentarnej — ostatnie posunięcia na jej szachownicy nie są tego rodzaju, żeby w nich upatrywać przyczyny, mające wytłómaczyć (nie usprawiedliwić!) formę i treść ostatniego wystąpienia p. Bartla.

Wystąpienie to będzie tem więcej niezrozumiałem dla opinji, zarówno polskiej jak i zagranicznej, że główny i wyłączny nacisk położył w niem premjer na sprawę wyłącznie polityczną i to taką której stan faktyczny, w związku z całą dobrą wolą, ujawnioną przez stronnictwa w Komisji Konstytucyjnej Sejmu, nie usprawiedliwia w niczem ataku na rzekomą „patalogję parlamentaryzmu".

P. Bartel uznał za wskazane wystąpić z swym atakiem w chwili, kiedy przesilenie gospodarcze w kraju doszło do najwyższego napięcia, kiedy po odruchowych aktach rozpaczy zgłodniałych mas bezrobotnych, przychodzi kolej na demonstracje najbardziej spokojnie usposobionych rzesz kupiectwa i rzemiosła...

Słusznie odpowiedział mu sen. Strug, że mowa premjera, ani głodnych nie nakarmi, ani kryzysu nie zażegna... co więcej w rozpaloną, niepewnością jutra przesyconą atmosferę, wniesie nowy czynnik rozstroju i niepokoju.

A przecież nie to napewno miał na myśli p. Bartel, gdy uznał za wskazane przemówić publicznie z trybuny parlamentarnej. Ale taki już jest tragiczny los pomajowych mężów stanu...

PREMJER DOBREJ WOLI.

P. Bartel, nikt nie ma prawa tego mu zaprzeczyć, reprezentuje na wysokim stanowisku, na jaki go losy w Polsce pomajowej wyniosły, maximalny wysiłek dobrej woli, energji i zapału.

W tem ciągłem skrzyżowaniu różnych sprzeczności, na jaki przy systemie pomajowym narażone jest stanowisko szefa rządu, p. Bartel starał się zawsze wnosić czynnik odpowiedzialności i umiaru. Był zwolennikiem kursu powiedzmy: pacyfikacyjnego i z tego to głównie powodu w kwietniu ubiegłego roku musiał odejść.

Objęcie przezeń władzy zpowrotem, potraktowano w opinji jako nawrót do tego kursu, którego zaprzeczeniem był okres gróźb i nieodpowiedzialnych zapowiedzi, tak szeroko praktykowany za rządów p. Świtalskiego

Mówiono głośno, że nowy premjer wraca wzbogacony w nowe doświadczenia i tym razem, należycie ubezpieczywszy sobie tyły — rozwinie pełnię władzy, usunie dwuznaczności, zlikwiduje niepotrzebne i jątrzące spory i zatargi. Pierwsze kroki, a raczej zapowiedzi p. Bartla, zdawały się wskazywać, że tym razem pójdzie on tą drogą zdecydowanie...

ZAWIEDZIONE NADZIEJE I „RZĄD POBOCZNY"

Zbyteczną jest rzeczą zestawianie dowodów, że w niedługim stosunkowo czasie okazało się, iż zapowiedzi tej polityki, o ile istotnie były szczere, nie spełniły się. Należałoby nawet zupełnie otwarcie mówić o bankructwie tych nadziei.

Zmiana kursu zasadniczej polityki rządowej jest taka, że ją trudno dostrzec. Ustały groźby aktów antykonstytucyjnych ze strony oficjalnych przedstawicieli rządu, ale za to wzmogły się akty anarchizowania naszego życia publicznego przez rządową ekspozyturę parlamentarną, akty, dodajmy solidarnie popierane przez całą prasę prorządową.

Pozatem wszystko zostało po dawnemu. Nawet w kwestji osławionych dekretów prasowych rząd nie przejawił żadnej własnej inicjatywy, ustosunkował się jedynie lojalnie do decyzji Sejmu.

Wkrótce też stało się publiczną tajemnicą, że obok rządu jawnego z p. Bartlem na czele, działa i rozwija ożywioną akcję zwłaszcza za pośrednictwem klubu sejmowego, B. B., „rząd poboczny", będący emanacją t. zw. grupy pułkowników.

Ten stan rzeczy nie mógł nie być znanym p. Bartlowi. I, jeśli wolno oceniać jego ostatnie wystąpienie w płaszczyźnie jakiejś celowości politycznej, to wydaje nam się, że było to przedewszystkiem pociągnięcie taktyczne, mające mu ułatwić swobodę ruchów w zbliżającem się przesileniu rządowem.

Należy zaś do paradoksalności naszej sytuacji politycznej, że posunięcie to za bezpośredni cel ataku wybrało tak bardzo ciągle jeszcze w pewnych kołach niepopularny parlamentaryzm polski i jego przedstawicieli.

GDZIE MIESZKA ADRESAT?

Sedno sprawy w ocenie środowej mowy p. Bartla mieści się tedy w tem, jaki jest właściwy adres, pod którym jej treść była skierowana. Nie w Sejmie mieści się ten adres... Sejm jest tu objektem, właściwy adresat mieszka w... Belwederze.

P. Bartel, tak samo jak w swoim czasie p. Kwiatkowski a następnie p. Matuszewski, jak przed nimi dwoma p. Świtalski, jest niewolnikiem tej teorji, że jedyna rzeczywistość Polski dzisiejszej rezyduje w Belwederze. I do niej wyłącznie adresuje swoje wywody. W zakulisowej walce o wpływy — składa i swoją ofertę...

Niewątpliwie czyni to w jak najlepszych intencjach. Ale idąc tak uproszczoną drogą do celu, zapomina o innych składnikach polskiej rzeczywistości, negliżuje minusy i straty, które ta „uproszczona" taktyka w ostatecznym obrachunku odrzuca... I łudzi się, że zażegnywa w ten sposób niebezpieczeństwo, odwracając, czy paraliżując gorsze „zło"...

Mimowoli jednak czyni tego rodzaju posunięciami jednak dużej wagi korzyść: rozjaśnia sytuację, usuwa złudzenia, przybliża w ten sposób moment ostatecznego wyjaśnienia położenia...

I to jest niewątpliwie plus, jaki płynie z takiego wystąpienia. Wobec tej korzyści — wszystko inne — to drobiazgi!

Do numeru niniejszego załączamy czeki P. K. O. (conto Nr. 19070) dla ułatwienia Sz. P.P. prenumeratorom przesyłki należnej prenumeraty.

Czy można ministrów wyrzucać za drzwi?

Pytanie to na pierwszy rzut oka zdaje się być mocne parodoksalne, lecz niemal pest istotniem i stanowi jądro całego problemu politycznego jakiem jest kwestja odpowiedzialności politycznej ministrów.

Zachodzi jednak pytanie co ma uczynić parlament jeśli rząd nie chce poddawać się jego woli, i sprawuje rządy bez oglądania się na prawo parlamentu, jako ciała ustawodawczego?

Pytanie to nader aktualne w okresie postępu form dyktatorskich w Europie było na czasie także i w pierwszym okresie systemu rządów parlamentarnych przeszczepionych na kontynent.

W Polsce dowodem aktualności tego pytania jest niezakańczony jeszcze proces ministra Czechowicza postawionego przed Trybunał Stanu na wniosek większości sejmowej, aczkolwiek ta forma odpowiedzialności leży w granicach praw zakreślonych przez Konstytucję i należy do odpowiedzialności konstytucyjnej ministrów, przewidująca środki represyjne na ministra, któremu udowodniono przestępstwo praw...

Inna jest natomiast sprawa odpowiedzialności parlamentarnej (czyli politycznej) ministrów, której jedyną konsekwencją powinna być dymisja oraz ustąpienie danego ministra lub też całego rządy.

Na to jednak aby dymisja istotnie nastąpiła, prawo konstytucyjne nie zna do dnia dzisiejszego żadnego sposobu prawnego, umożliwiającego pewne represje w stosunku do opornego ministra lub też w stosunku do wszystkich członków gabinetu...

Parlament bowiem niema siły fizycznej aby mógł zmusić ministra do ustąpienia z krzesła ministerjalnego, i pozostają mu do dyspozycji jedyne środki leżące poza sferą bezpośrednich represji prawnych, a temi są przedewszystkiem wykorzystanie prawa odmowy koniecznościom państwowym. To znaczy, że jeśli rząd lub minister nie chce ustąpić mimo uchwalenia mu votum nieufności, Sejm może odmówić uchwalenia podatków, budżetu, lub poboru rekruta. Mimo przeto braku odpowiednich przepisów prawnych, parlamenty posiadają środki na mało ambitnych ministrów, i historja zna wypadki korzystania Izb parlamentarnych z tych praw pośrednich.

I tak w roku 1896 a więc nie tak dadno, senat francuski powziął rezolucję wstrzymania uchwały o podatkach aż do czasu ustąpienia ministra wojny, któremu wyrażono votum nieufności, skutek był taki, że przed senatem musiał się stawić już inny minister, któremu podatki na pokrycie wydatków wojskowych uchwalono.

Sprawa usunięcia ministra nie cieszące go się poparciem parlamentu była tematem namiętnych dyskusyj i polemik. Już w roku 1816, w którym to czasie jeden z najwybitniejszych ówczesnych pisarzy oraz były minister spraw zagranicznych rządu francuskiego Chateaubriand, pisał mniejwięcej te słowa zacytowane w „Prawie Konstytucyjnem prof. Esmeina“: „Jeśli kto powie, że ministrowie mogą pozostawać na swych stanowiskach wbrew życzeniom większości, ponieważ ona nie posiada fizycznej możności ująć ich za rękaw i wyprowadzić za drzwi, będzie to oczywiście prawdą. Lecz jeśli znosić codziennie upokorzenia, słuchać nieprzyjemności, i nie być nigdy pewnym czy proponowane prawo będzie przyjęte, znaczy to pozostawać na stanowisku, w takim razie jedno tylko mogę powiedzieć — że minister zostaje, ale rząd ustępuje“.

Jak więc widzimy, pytanie czy można ministra wyrzucić za drzwi, nic nie straci to na aktualności mimo, iż tak dawno zastanawiano się nad podobną ewentulnością.

J. W.

Zwyrodnienie konserwatyzmu

Projekt reformy konstytucyjnej, zgłoszony w Sejmie przez stronnictwa centrowe spotkał się w prasie codziennej z bardzo różnem przyjęciem, zależnie od stanowiska partyjno - politycznego danego pisma. Bodajże z najmniejszą sympatją, jednak przyjęto go w konserwatywno - sanacyjnym „Czasie“ Naczelny publicysta tego organu, krytykując poszczególne postanowienia projektu — uczynił mu m. in. zarzut, że „nie rozszerza obecnego prawa prezydenta rozwiązania parlamentu“...

Zdumiony czytelnik przeciera oczy i zapytuje, co to ma znaczyć. Przecież żaden z projektów konstytucyjnych, nie wyłączając najsympatyczniejszego sercu „Czasu“ projekt B. B., prawa tego nie rozszerza.

Wszyscy godzą się z tym stanem rzeczy, jeżeli został wprowadzony do Konstytucji obecnej w noweli z dnia 2-go sierpnia 1926 roku na wniosek rządu Bartla — Makowskiego (zresztą zgodnie ze zgłoszonym jeszcze przed przewrotem projektem stronnictw większości sejmowej), że Prezydent Rzplitej może rozwiązać Sejm i Senat przed upływem czasu, na który zostały wybrane, na wniosek Rady Ministrów umotywowanem orędziem, jednakże tylko raz jeden z tego samego powodu.

O jakimż tedy „rozszerzeniu“ tego prawa jeszcze może być mowa? Powstaje tylko jedno domniemanie, a mianowicie, że chodziłoby o taką „reformę“, przy której Prezydent Rzplitej nie byłby obowiązany równocześnie z faktem rozwiązania izb rozpisywać nowych wyborów... Niewątpliwie takie „uzdrawianie“ parlamentu uśmiechałoby się niedobitkom naszego konserwatyzmu. Byłoby jednak uczciwiej, gdyby ci osobliwego autoramentu „konserwatyści“ wyraźnie powiedzieli, że najlepszym byłby np. parlament z nominacji. Bo dziś nawet przy kurjalnym systemie wyborczym, ci panowie nawet by się nie policzyli. Do takich wyników doprowadziła ich polityka, w której wbrew testamentowi jednego z swych wodzów duchowych pojęli oni konserwatyzm, jako troskę o zachowanie własnych majątków, a nie zachowanie zasad i wartości ideowych.

Demokratyzm pomajowy i drażliwości sanacyjne

W czasie dyskusji budżetowej w Senacie miał miejsce incydent, którego mimowolnym sprawcą stał się spokojny senator z Str. Chłopskiego, stateczny włościanin z Stopnickiego powiatu p. Szafranek. Charakterycując położenie rzeczy na wsi, mówca użył m. in. następującego zwrotu: „Fala nienawiści wzbiera i baczcie panowie z rządu, by Was nie pochłonęła. Państwo, panowie wojskowi i profesorowie, to nie Wasz folwark dochodowy, bo państwo jest własnością narodu“.

W tem miejscu, według djarjusza parlamentarnego p. premjer Bartel zerwał się z miejsca i uderzając w pulpit zaprotestował przeciwko wyrażeniu „folwark dochodowy“ mimo wyjaśnienia sen. Szafranka, że zwrot ten nie odnosi się do p. Bartla, poczem ten ostatni wraz z to-

Demokratyzm pomajowy (c. d.)

waszyszącemi mu ministrami opuścił salę obrad.

Djarjusz notuje dalej, że incydent ten zakończył p. marszałek Senatu przywołaniem do porządku sen. Szafranka, gdyż „porównywanie państwa polskiego z folwarkiem dochodowym, nie licuje z powagą Izby".

W powyższem zestawieniu faktów rzecz cała polega na dziwnem jakiemś nieporozumieniu lub też ma się tu do czynienia z źle zainscenizowaną komedją oburzenia ze strony p. marszałka Senatu. Zrozumieć jeszcze można oburzenie p. Bartla, o tyle trochę dziwne, że mówca wyraźnie odgraniczył go od jakichkolwiek aluzji. W każdym razie odnosi się wrażenie, że gdyby słowa o „folwarku dochodowym" padły np. z ust p. Kopcińskiego z P. P. S., czy p. Januszewskiego z „Wyzwolenia" — Senat nie byłby wówczas widownią sceny, w której p. premjer bił pięścią w pulpit.

Widocznie z p. Szafrankiem można rozmawiać mocniej... Mamy tu do czynienia z swoistym objawem demokratyzmu pomajowego, tego samego widocznie który nie dopuścił w dniu przesilenia rządowego na lśniące posadzki zamkowe z pośród przewódców stronnictw polskich jedynie dwóch osób: chłopa i robotnika....

Pozostaje ponadto strona merytoryczna zarzutów sen. Szafranka. Można protestować przeciwko zbyt szerokiemu uogólnianiu zarzutów. Ale czy po znanych już i ustalonych faktach z zakresu gospodarki p. Miedzińskiego, jako ministra poczt, po jego „wyczynach" budowlanych, po sprawozdaniu N. I. K., po Trybunale Stanu, po sprawozdaniu z rozdawnictwa funduszów Banku Gospodarstwa Krajowego i t. d. i t. d. — ta aluzja do „folwarku dochodowego" tak dalece odbiega od rzeczywistości? I to w sytuacji gdy p.p. Świtalscy i Kwiatkowscy ciągle jeszcze bawią nas bajeczkami o „nieprawnościach" przedmajowych...

Rozumiemy, że sen. Szafranek dotknął bardzo drażliwie punktu... rzeczywistości sanacyjnej. Ale stąd nie racja, aby za to zaraz przywoływać go do porządku, co według regulaminu jest przecież karą dyscyplinarną...

Dolina Józefata

Mówi się, pisze się urbi et orbi uroczyście roztrębuje, że obecny okres rządów, to jeno takie sobie „bartlowanie" pour passer el temps — ot krótka „pieredyszka" przed powrotem do władzy naszych „cudobohaterskich" herojów i cowboyów upstrzonych suto gwiazdkami i paskami na obu ramionach.

Dziś nawet, w momencie kryzysu rządowego, czuć się daje owa „powracająca fala". — Już się po Europejskiej snuć zaczynają znane postacie, narazie jeszcze poza godzinami urzędowemi — (vide znany okólnik — ale bardzo ich t. j owych godzin blisko.

Już ex wojewoda, przezacny imć pan Jarot - Kurendowski skromnie dotąd tramwajetką się promenujący, pilnie upatruje, czy jakowyś La Salle wolny gdzieś się na drodze nie napatoczy... Już przed domem ex - ministra Cara szoferus pewien z urzędową staje limuzyną, otwarcie nieznajomkom ciekawym wyjaśniając, że „Pan minister, ma podobno zamiar wrócić, więc on tak, dla pewności... pod dom przyjechał... Już w Europie sam maetre podobno pieczołowicie Bartelunek z sakramentalnymi słowy: „stale zajęty" na sławetnym stoliku przyszpilić zamierza... Już Oaza ręce zaciera, łudząc się, (naiwna!), że choć drobna cząstka niezapłaconych dotąd rachunków, uiszczona na jej będzie...

Słowem — ruch, ożywienie na całej linji.

Istna wiosna ludów.

Z opozycją nikt się tam znów zabardzo nie liczy — wiadomo: „czapkami zarzucimy"! — ho ho, my mamy siłę — społeczeństwo z nami, a oni co? — tych paruset gagusiowatych korporantów? Phi, też mi coś!

Avanti!... Victoria na całej linji!

Boże Cara chrani! I my pierwsza brygada!

Ot co!

Prokurator nawet pewien, znany z tego, że „urzędował" stricte od 2.30 do 3-ej, a poprzedniemu rządowi wielce zasłużony, tem samem więc wszelkie predystygnacje do niemniej zasłużonej mający

Dolina Józefata (c. d.)

dymisji — też odżałować nie może, że w momencie ducha niegodnej słabości 2 zające własnoręcznie u b-ci Pakulskich nabyte nowemu ministrowi posłał, biletem kornym prośbę o łaskawe spożycie, wyrażając.

A choć szaraki owe z miejsca ku uciesze powszechnej odesłane zostały i choć je sam ów srogi prokurator z łaski rządnej a gospodarnej małżonki przez tydzień bez mała, w rozlicznych sposobach i sosach przyrządzone, spożywał — tem niemniej posmak zbyt wielkiego już pośpiechu i „nie wczucia" się w sytuację — miły nazbyt nie jest.

Znaki więc na niebie i ziemi mnożą się rozliczne.

Szkoda jeno, że... zawodne. Bo bohaterscy intryganci z pod znaku Bachusa i Wenery — nie widzą, iż poza „bandą gogusiowatych korporantów" kryje się coś nierównie poważniejszego.

Nie widzą oni rozgoryczonych nędzą miast, ani wzburzonych, ciężarami przytłoczonych wsi, ani zdławionego podatkami przemysłu i zrujnowanego, zrozpaczonego kupiectwa, ani mas głodującej inteligencji — nie widzą nic.

Daltonizm, typowa aberacja wzrokowa w swej najczystszej formie.

Ano... „kogo bogowie chcą ukarać... temu rozum odbierają".

Nic nowego.

Tylko przykre i zbyt już śmieszne patrzeć się na te krygowanie się i mizdrzenie dorosłych ludzi, ludzi pod wąsem, którzy łudzą się, że ich godzina jeszcze powróci.

Nie „on nie powróci już" panowie — ten wasz regime.

Koniec. Finis. Klapa. Szlus.

Mogą być jeszcze jakieś przedśmiertelne drgawki, ale godzina wasza wybiła i — przeszła.

Nie umieliście skorzystać ze sposobności i utrzymać się na powierzchni.

Bywa.

Przykre.

Ale cóż na to można poradzić.

Nic.

Ani na to, ani na te beznadziejne burmuszenie się i indyczenie.

Iluzjoniści.

Ha...

I wogóle — i oni — i to całe BB — taniec trupów.

Danse macabre.

Owszem.

Wybija godzina i tego.

Ale... w dolinie Józefata.

Tam, gdzie wedle tekstu Pisma zejdą się w dniu Ostatecznego Sądu wszyscy umarli, by usłyszeć swoje wyroki.

Bo w t e m życiu — już nie.

„Pieredyszka" zamieni się w — sen wieczny — w letarg sztucznego tworu parlamentarnego (BB) i kłębka rozwydrzonych nerwów Gentleman'ów z Caffe d'Europe.

A obudzą się w dolinie Józefata — tam na mur.

Tu — nie.

To także mur.

Było dosyć.

Aż zadużo.

Więc... narazie...

„Więcej — nie Kochane me BB".

Kropka.

Punkt.

Dziadowskie ostatki

Dawniej dziod siedzioł na schodkach, cy w kruchce,
A dziś policyant do baraków cie buchnie
I siedzis dziadzie zamknięty w komorze
Nie daj ci Boże!

—

Dawniej przezpiecnie z sakwami na grzbiecie,
Dziod pswędrował po calutkim świecie,
A dziś z za płotu wyskocy bandyta
Posła kaleta.

—

Dziod śpiewał pieśni i „misereatur",
Dziś wnet ktoś ksyknie. „pewnie agitatur"
I o papiury ten i ów pyta cie
W komisaryjacie.

—

Dawniej dziod zańdzie, jak sie pora zdaża
Do pana kupca, majstra, gospodarza
I wsędy dostał jakowąś ofiarę
Choćby grosy parę.

—

Dziś tez se łazi, ale po próżnicy
Kuzdy odpowie cale bez różnicy
„Ja sam juz dziadem", a potem w złość wpadłsy,
Niech Prystor opatsy.

—

Dawniej piecono na Wielkanoc dziady,
Był dziad rumiany, bywał tes i blady,
A dzisiaj pieką kukły i pirogi,
Ze to dziad za drogi.

—

I wielkie ludzie o dziodach pisali,
A dziś na dziadów syćko się juz wali;
Ksywda sie dzieje teraz wszystkim dziadom.
Jo wom to powiadom.

—

A w jednym dziadku Pepes sie kochała,
O cem to pise historyja cała,
A dzisiaj mówiom, słuchajta narodzie,
Gdzie moze, to bodzie.

—

A on jej zato paskudnie wymyśla,
Niby jak fiokier, cy Antek z Powiśla;
Tak w osobliwym oboje sposobie
Psyganiajom sobie.

—

Ale na psekór są takie książęta,
Chtórym bez dziadka nijakiego święta.
Gdy dziodek niekce zaraz ci Kuryera
Ślą wprost po Walera

—

On sie rozpiera pysnie po kanapach
Oni go za to cmokają po łapach
Wsak im on tera, jak rabin w bożnicy
Wsendzie psewodnicy.

—

Więc gdzie sie tylko okazuje Waler
Wnet salutują ustawiają w spaler,
Bo sobie myślom: „a nuz psyjdzie pora
I na sukcesora.

CASUS.

Pogrzeb dekretu

(na nutę dziecinnej piosenki „Śmierć Komara").

Coś tam w Sejmie stuknęło!
Coś tam w Senacie plusnęło!...
Ach, to dekret z półki spadł,
Złamał sobie w krzyżu gnat.
„Ach nasz dekret kochany,
„Jakie straszne ma rany"
Zawodziły cenzory.
I różne sanatory;
Więc posłano do Kasy
Po bandaże i pasy,
A panowie, ci z Rady
Proponują okłady.
„Mój kochany Cenzorze
„I ty Prokuratorze
„Nic mi już nie pomoże,
„Do lochu się położę.
„Nie potrzeba apteki,
„Ale rydla, motyki.
„Przyjaciele żegnajcie
„I już skończyć mi dajcie".
Sanatorzy na sali
Cicho, rzewnie płakali
I śpiewali r e k w i j e
„Ach nasz dekret nie żyje".
Zasmucił się — rzecz prosta
Też niejeden starosta,
Gdy na płacz mu się zbiera,
Łzy gazetą ociera.

CASUS.

Cena prenumeraty: rocznie zł. 15, kwart. zł. 4, mies. zł 1.50 **Zagranicą:** rocznie 3 dol. am. półrocz. 1.50 dol. am. kwartalnie 90 cnt; względnie równowartość w innej walucie) **Ceny ogłoszeń:** 1/1 str. 300 zł., 1/2 160 zł., 1/4 90 zł., 1/8 50 zł.; w tekście o 35% droże

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul Sienna 33, tel. 106-25 **Konto P.K.O. 19.070.**

Wydawca: Wacław Dziekoński. Druk. „Ars", Warszawa, Sienna 33 Red. odpowiedzialny: Józef Dziekoński